



Katedra i Ratusz w szacie śnieżnej

GAWĘDY LWOWSKIE

KAZIMIERZ SCHLEYEN

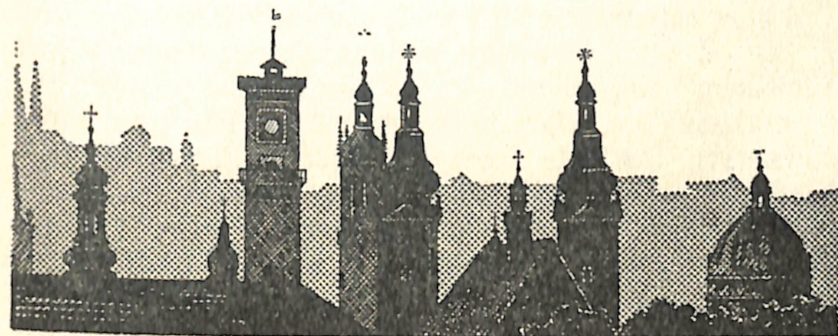
LWOWSKIE GAWĘDY

*Ilustrował
Marek Gramski*

*Opracowanie muzyczne
dra Czesława Halskiego*

GRYF — LONDYN 1967

© Copyright by Kazimierz Schleyen
Wszelkie prawa zastrzeżone



PRZEDMOWA

Przez wszystkie kartki tej prostej, bezpretensjonalnej gawędy o Lwowie przelewa się szeroką falą miłość. Autor wprowadza nas do miasta nie od frontu, nie pokazuje kościołów czy pałaców, nie rozwija przed naszymi oczyma starych pergaminów, o tytułach sławy Lwowa mówi dyskretnie, na marginesie, jako rzecz znaną i samo przez się zrozumiałą. Wszystko co lwowskie jest przedmiotem jego miłości, więc szkoła, teatr, dom, tramwaj, ulica, kawiarnia, język, piosenka, głównie człowiek, i to człowiek zwykły, można rzec, szary. Każdy bez wyjątku człowiek, zatem i jakiś radca i stróż, nauczyciel i restaurator, kolporter gazet i literat, aktor i członek klubu piłki nożnej, „Czarni“ i „Pogoń“. Wszyscy oni, razem wzięci, składają się na atmosferę Lwowa.

Skład Główny: „Alma Book Ltd.“ — 7 Lenthal Place,
London, S.W.7

Nakładem „Gryf“ przy współpracy „Koła Lwowian“
Printed by Gryf Printers (H. C.) Ltd.
171 Battersea Church Road, London, S.W.11

Z górą czternaście lat i wiele tysięcy kilometrów dzieli nas od tego dziwnego miasta, którego nazwa jest zaklęciem i artykułem wiary i programem politycznym i przykazaniem. Małe kółko na mapie. I w tym kółku zawartych jest tyle rzeczy dobrych, najlepszych, najbardziej polskich pod słońcem. Są to rzeczy z pozoru zwykłe, pospolite, codzienne, a przecież jedyne, wyjątkowe. Gawęda, którą poprzedzić mam słowem wstępnym, przybliżyła nam Lwów, skraca drogę, i sprawia, że widzimy całe miasto jak na dłoni. Zamykamy na chwilę oczy i zdaje się nam, że wczoraj, albo nawet że przed godziną zaledwie opuściliśmy Lwów. Co więcej, trafiają się w tej książce momenty, dzięki którym skłonni bylibyśmy wierzyć, że jesteśmy we Lwowie. Przykładamy ucho do bruku i słyszymy, że serce Lwowa bije tak jak dawnej, przed laty. Lwów jest ten sam!

Oto idziemy przez Akademicką. Oto bije dzwon katedralny. Oto patrzymy na gmach teatru, w którym dzisiaj grają nową sztukę Zbierzchowskiego. Idziemy na Plac Bernardyński. Wypada kupić kwiaty i posłać je przez „ekspresa“. Trzeba koniecznie wstąpić do Zalewskiego. Ach, jakież tam są ciastka! A może lepiej odwiedzić mamę Telieczkową. Albo wziąć dorożkę, dwukonną, więc t.zw. Zweispennera i pojechać daleko na Wysoki Zamek, by spojrzeć z góry i objąć wzrokiem wszystkie wzgórza Lwowa. Nie, to zrobimy później. I później wybierzemy się na Cmentarz Obrońców. Na razie cieszymy się ulicą, jej gwarem, jej życiem zwykłym, powszednim. Kupię „Wiek Nowy“ i usiądę na ławce tak, by widzieć perspektywę od pomnika Mickiewicza aż po teatr..

Kanapki u mamy Telieczkowej... Powiada stare jak świat przysłowie, że „wszędzie chleb pieką“. To nie ze wszystkim prawda. Choć krakowiak, gotów jestem z uporem twierdzić, że takiego jak w Kulikowie nie pieką nigdzie. Wiem, co piszę, bo z niejednego pieca chleb jadłem. Włosi o swoim chlebie mówią, że pod nożem śpiewa (il pane canta). Chleb kulikowski może nie śpiewa, ale za to gada, mianowicie gada lwowskim,

miękkim, melodyjnym akcentem, który nas pochodzących z innych stron Polski trochę bawi, a jeszcze bardziej cieszy. W gawędzie p. Schleyena pachnie chleb kulikowski, pachnie aż do zawrotu głowy.

Dobry, ba, znakomity jest miód janowski, ale i woda, zwyczajna woda we Lwowie posiada jakieś szczególne zalety. Ona trochę musuje, ma orzeźwiający smak, jest niebywale czysta, może dlatego że pochodzi ze Szklia. Ta woda, bez żadnych dodatków, zastępuje sodową. Autor karmi nas kulikowskim chlebem, lecz nie zapomina ani o dawnych knajpach w rodzaju Nafuty czy Musiałowicza, ani o nowszych, więc o Koziolo. Jakże można o nich zapomnieć. One także są częścią, bodaj częścią Lwowa. Nie wolno ich pominąć.

Z rzeczy drobnych, na pozór banalnych, albo wręcz poziomych tworzy się obraz szeroki, z każdą kartką szerszy. Przez te rzeczy drobne, z pozoru banalne, albo wręcz poziome, przewija się jakaś nić. Żłota? Czerwona? Nie umiem określić jej barwy, powiem tylko, że jest to wątek szczerze lwowski. Oto czytam tekst jakiejś piosenki, zrodzonej błyskawicznie szybko, na bruku, zaczynam nucić jej melodię, i nagle doznaję wzruszenia, które rośnie. Ktoś, kiedyś, dawno temu, śpiewał tę piosenkę. Kiedyż to było? Aha, już wiem: w połowie września 1939 roku. Pod rytm owej piosenki lwowiaci wyrwali z chodników płyty betonowe, stawiając barykady. Był wśród nich jakiś radca i jakiś stróż, nauczyciel i kelner, literat, ktoś z „Czarnych“ i ktoś z „Pogoni“, i dzieci, tak, dzieci lwowskie. Już nie pamiętam dobrze miejsca. Może koło dworca? Może gdzieś pod Ossolineum? Tyle lat!

We Lwowie dane mi było ujrzeć okropną rzecz. W sam żydowski Sądny Dzień. Przez ulicę Legionów ciągnęła armia czerwonych złodziei w stronę placu Bernardyńskiego. W bocznych ulicach stało wojsko polskie, ale stało z białymi płachtami kapitulacji. Widok straszliwy, który mam do dziś dnia przed oczyma. Rozplakałem się z bólu i pobiegłem szybko, gdzieś w bok, byle nie patrzeć. Znalazłem się na jakiejś ulicy,

której nazwy już dzisiaj nie przypomnę sobie. Była pusta, lecz ktoś szedł za mną, trącił w ramię i zatrzymał.

— Pan Nowakowski?

— Tak.

— Pan płakał przed chwilą?

Obawiając się jakiejś prowokacji, zaprzeczyłem, ale ów przechodzień — był to człowiek starszy, Żyd — nie uwierzył moim słowom.

— Pan płakał! Niepotrzebnie! Polska będzie wolna, niepodległa, od morza do morza! Mówię to panu, jakem Żyd i jak dziś jest Sądny Dzień!

Patrzyłem na niego jak na zjawę, jak na ducha. Lecz ten duch był człowiekiem z krwi i kości. Obejrzał się dookoła, stwierdził, że jesteśmy sami na ulicy, szybko wydobyl portfel i dał mi pięć tysięcy złotych.

— Pan jest prezesem Komitetu Opieki nad Uchodźcami z województwa krakowskiego. Potrzebujecie pieniędzy, ja wiem. Niech pan to weźmie. Kwit? Zbyteczne. Nie mam więcej przy sobie. Proszę wziąć! Za tydzień, za dwa najwyżej, te banknoty nie będą miały żadnej wartości, a dzisiaj przydadzą się. Ta swolocz rosyjska obedrze nas ze wszystkiego, tylko patrzeć! Moje nazwisko nic panu nie powie. Niechże pan przestanie robić ceremonii!

Zniknął w pustej ulicy i zostawił mnie z tymi pieniędzmi i ze słowami „Polska będzie wolna, niepodległa, od morza do morza! Mówię to panu jako Żyd i jak dziś jest Sądny Dzień!“ Piszę tę przedmowę po latach, w jakże dalekim od Lwowa Londynie, a mróz idzie mi po kościach i myślę sobie, że Żydzi to naród wielkich proroków.

Dobre miasto! Z owej ulicy poszedłem do ratusza, gdzie były biura naszego komitetu. Nie dostałem się do wnętrza gmachu, bo w bramie stał jakiś Mongoł z karabinem w ręce i wrzasnął „Nie lzia!“ (Już o tej godzinie ówczesny prezydent Lwowa, prof. Ostrowski, był aresztowany). Nie wiem dokąd iść, ale spotykam

kogoś znajomego. Mówi mi, że pewien szewc, jego szkolny kolega, pragnie mi ofiarować trzewiki.

— Nie, nie chcę!

— Ależ pan ma całkiem podarte buty!

Istotnie, podeszwy były dziurawe, lecz nie skorzystałem z oferty, nie poszedłem szukać sklepu tego szewca. Cóż począć, skoro szewc szukał mnie i znalazł w naszej stołówce. Zaciągnął przemocą prawie do siebie, posadził na stołku, i zaczął przymierzać buty. Przez chwilę dałem z sobą robić, co mu się rzewnie podobalo, ale raptem ocknąłem się i rzekłem twardo, że nie wezmę tych butów, bo nie mogę za nie zapłacić.

— Pan mi za te buty zapłaci w wolnym Krakowie!

Dwie przepowiednie w jednym, tak okropnym dniu. Pierwszy prorok mówił o wolnej Polsce, drugi, więc ten szewc, o wolnym Krakowie. Słowa ich dzwonią mi dotąd w uszach, powtarzam je sobie, gdy mnie napada zwątpienie. Moja miłość do Lwowa rośnie i rośnie moja wdzięczność.

Już mając darowane buty na nogach, poszedłem do nowego lokalu, w którym zaczął urzędować nasz komitet. Podobnie jak przedtem na bramie ratusza, wywieśzaliśmy na bramie tego domu niewielkie karteczki (z papierem zaczynało już być krucho), zawierające prośbę o mieszkanie dla jakichś uchodźców. Owe karteczki zmieniały się w błyskawicznie szybkim czasie. Ledwie ogłosiliśmy zapotrzebowanie, a już ktoś ofiarowywał nocleg, śniadanie, obiad, kolację. Zarówno radca jak stróż, zarówno kelner jak nauczyciel, mówili, że mogą umieścić i nakarmić dwóch albo trzech krakowiaków. Dodawali, że znajdzie się także coś z ubrania i bielizny.

— Ta niech si panowie ni boją. Krzywdy im ni bedzi! Przeci są we Lwowi!

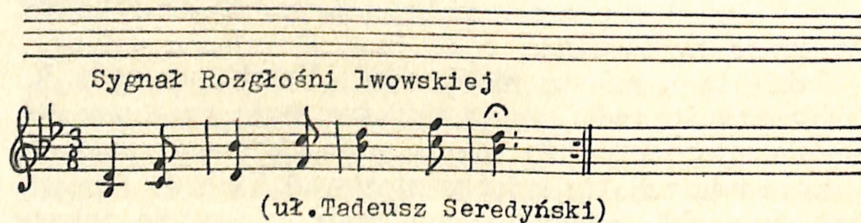
Jakże tego miasta nie kochać! Książka-gawęda K. Schleyena sprawiła, że zaczęły we mnie grać wspomnienia. Lecz idzie tu nie o mnie, tylko o młodych, o najmłodszych. Ta książka wprowadzi ich do Lwowa, jak się rzekło wyżej, nie od frontu, a przecie pokaże

im całe miasto i ludzi tego miasta, o którym Piłsudski powiedział: „I kiedym ja, jako sędzia wojskowy, dający nagrody, odznaczający ludzi, myślał i przemyślał nad kampanią pod Lwowem, to wielkie zasługi Waszego miasta ocenilem tak, jak gdybym miał jednego zbiorowego żołnierza, i ozdobiłem Lwów krzyżem „Virtuti Militari“ tak, że wy jesteście jedynym miastem w Polsce, które z mojej ręki, jako Naczelnego Wodza, za pracę wojenną, za wytrzymałość otrzymało ten order“.

Ten cytat jest wspaniały i potężny, książka o której piszę, odznacza się przede wszystkim skromnością. Ona może nie śpiewa, ale nuci. Słyszę melodię i słowa:

Może uda si, ży powrócy zdrów
I zobaczy miasto Lwów...

Zygmunt Nowakowski
Londyn w 1952 r.



MARIAN HEMAR

KILKA SŁÓW PRZEDMOWY

Autora tej ślicznej i serdecznej książeczki, Kazimierza Schleyena, znam zdaje mi się dłużej niż on sam siebie zna. Było we Lwowie kilku czy kilkunastu facetów ze złotej albo pozłacanej młodzieży, o których mawiano z podziwem, że są w kilku egzemplarzach. Widywano ich jednocześnie u Zalewskiego i w „Romie“, w „Szkockiej“ i u Welca, na Corsie i u Musiałowicza. Wieczorem siedzieli jednocześnie u Koziola i we Francuskim, u George'a i u „Atlasa“, jednocześnie byli w Zakopanem i w Skolem, na Kasprowym i u Trzaski. Nikt nie wiedział skąd brali na to siły, zdrowie, czas i forszę. Jednym z nich był Kazik Schleyen, der kleine Leutnant, jakeśmy go nazywali.

Obracał się dokoła młodej lwowskiej literatury, coś wydawał, organizował, zamawiał, dawał zaliczki, jak przez sen chodzi mi po głowie, że jeszcze jestem mu winien 200 marek za tom wierszy p.t. „Liście Jesienne“, do którego miałem tylko tytuł, ale sam tytuł wart był tych dwustu marek, które od razu w towarzystwie nakładcy poszły u Fliessera przy ladzie, na stojąco.

Wyjechałem ze Lwowa już w roku 1925. Właściwie, uświadamia mi się w tej chwili, że wogóle tylko sześć lat „dorosłego“ życia spędziłem we Lwowie. Rodzice uciekli z nami, dziećmi, do Wiednia, z wybuchem pierwszej wojny, wróciłem jesienią w roku 1918, a już w 1925 byłem „Warszawistą“, zwłaszcza dla zostawionych za sobą przyjaciół i kolegów. Tylko sześć lat dorosłej młodości spędziłem w tym mieście, ale jakaż to była młodość i jakie miasto, jacy w nim ludzie, jakie głowy i jakie serca, jakie życie, jakie zabawy i wzruszenia i przejścia, jakie marzenia i wzloty!

Dzisiaj widzę, że to właśnie były najważniejsze lata mojego życia, że one dały mi i nauczyły mnie najwięcej, wszystko inne to już tylko lata rozczarowania i niespełnienia obietnic. Wiem, że wielu ludziom, ludziom nie ze Lwowa, takie słowa i wszystkie nasze lwowskie wiersze, piosenki i wspomnienia mogą się wydawać tokowaniem egzaltacji. Wcale mnie to nie dziwi. Sam

nie rozumiem zagadki tego miasta. Im bardziej oddalam się odeń w czasie, im bardziej zasnuwają mi się mgłą wspomnienia młodości, tym dziwniejszy wydaje mi się urok Lwowa i tym większa tajemnica tego uroku.

Dlaczego my tylko, Lwowianie, starzy czy młodzi, Polacy, Żydzi, czy Rusini, mężczyźni i kobiety, bogaci, czy biedni, tak się dajemy ponosić naszej nostalgicznej egzaltacji, bez względu na to, czy nam się lepiej czy gorzej wiodło w owych lwowskich czasach, czy byliśmy w nich bardziej czy mniej szczęśliwi? Skąd się bierze taki nasz regionalny patriotyzm, którego nie spotkasz u Wiedeńczyków ani Paryżan, Szkotów ani Węgrów, emigrantów z Rzymu, ani z Wenecji, ani z Aten? Musiało być w tym mieście coś co nas zaczarowało do końca życia.

Jak na dzisiejsze moje rozumienie, Lwów był małym miastem, miasteczkiem raczej, którego śródmieście przejść można było w piętnaście minut wzdłuż a w jeden „kwadrans“ w poprzek. W tym małym mieście żyła ludność wielkowiejska z inteligencji i wykształcenia, wielkowiejska z temperamentu i ciekawości świata, wielkowiejska z manier, humoru i obyczajów. Ludzie we Lwowie byli biedni i musieli liczyć się z groszem, ale jak nigdzie w Polsce kupowali książki i obrazy, kolekcjonowali srebra i porcelanę, chodzili do teatru i na koncerty. Lwów miał wszystkie zalety małego miasta i wszystkie zalety wielkiego — nie miał wad obu.

Wiem jeszcze o innych jego urokach, związanych z uniwersytetem i z teatrem, z włoskim „Corsem“ i wiedeńskimi kawiarniami, z mieszaniną ras, tak szczęśliwą dla urodzaju pięknych dziewcząt, z odwagą i zamaszystością jego młodzieży, z muzykalnością, która przywiewała do nas od podolskich pól, z lwowską wrażliwością na piękno, z okiem zawsze czujnym na wszystko co było postępem i nowinkami, z dostojnością lwowskiej palestry i rzetelnością lwowskiego kupiectwa.

Ale to wszystko, choćby wyliczać a wyliczać, nie daje mi odpowiedzi na pytanie: dlaczego ja, dziś, w czterdzieści lat po wyjeździe z mego miasta, coraz żywiej, coraz nieprzytomniej, coraz goręcej tęsknię do tamtych sześciu? Czemu nie mogę się od nich odkleić wspomnieniem, tęsknotą i żalem?

Musiało coś być, czego nikomu nie wytłumaczę, kto nie jest ze Lwowa, a nikomu kto ze Lwowa, tłumaczyć nie trzeba.

Trzeba natomiast koniecznie, pilnie i uparcie, zbierać i notować, przypominać i utrzymywać, ratować od zniszczenia, odkopywać z pyłu przeszłości, wszystko co było częścią tej lwow-

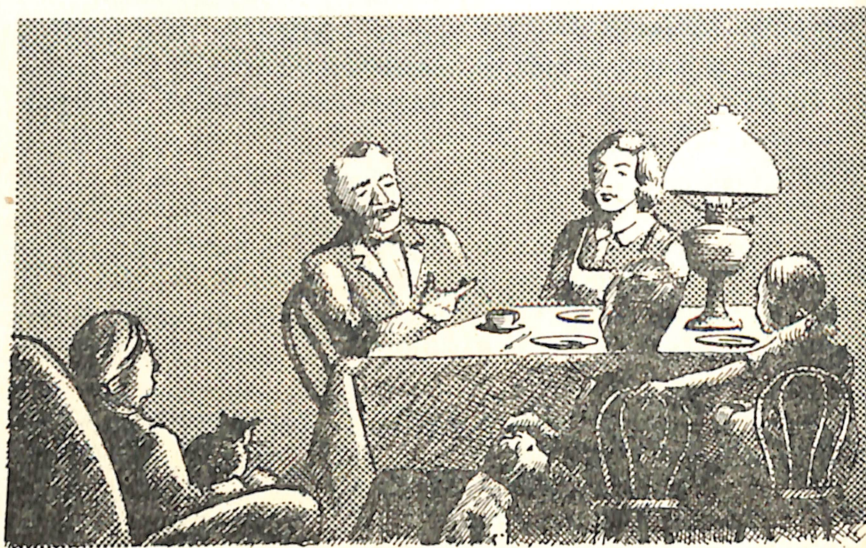
skiej tajemnicy, wszystko co było częścią lwowskiej magii.

Rzecz to zdumiewająca, jak wiernie i dobrze, z jaką precyzją i z jakim prawdziwie naszym, lwowskim humorem, jak ładnie i mile dokonał tego w swojej książeczce Kazimierz Schleyen. Przeczytałem jego „Lwowskie Gawędy“ nie raz, nie dwa, za każdym razem od początku do końca, za każdym razem z tym samym wzruszeniem. Nasycił tę książeczkę taką mnogością nazwisk i nazw, zdarzeń i żartów, taką atmosferą dawności wiecznie w nas obecnej, takim zapachem i takim blaskiem Lwowa, że to wszystko znowu szumi i śpiewa, gada, zaciąga, uśmiecha się, zjawia i świeci, jak gdybym wczoraj dopiero z tym się rozstawał i żegnał.

I pomyśleć, że „der kleine Leutnant“ po to siadywał kiedyś jednocześnie u Welca i u Musiała, u Zaleskiego i w „Szkocekiej“, u Atlasa i Naftuły, żeby wszystko zauważyć, wszystko notować w pamięci, wszystko kiedyś ocalić i przypomnieć. Ile serca włożył w swoją książkę, ile uporu ile zapamiętania — no cóż. Lwowianin.

Bardzo mu jestem wdzięczny, że dał mi sposobność napisania tych kilku słów przedmowy do nowego wydania „Lwowskich Gawęd“. Może skwitujemy się teraz z tamtej zaliczki na „Liście Jesienne“?

Marian Hemar



WSTĘP

„Dawniej bywało tak...” lub „Za moich czasów...” Młodzi słuchali z pobłażaniem tak zaczynających się wspomnień. Dawniej zawsze bywało lepiej. Słyszeli to od dziadków, rodziców, dzisiaj sami to mówią. A jednak...

Odchodzące pokolenie, które dojrzewało w czasie zaborów, przeżyło nieporównanie więcej niż inne pokolenia. Było ono świadkiem jak człowiekowi urastały skrzydła aż wyprzedził wszystkie ptaki i szybkość głosu. Pokolenie, które za młodu czytało z zachwytem powieści Juliusza Verne'a i wraz z nim w 80 dni okrążyło świat, doczekało się, że rzeczywistość prześcignęła najśmielsze fantazje pisarza. Geniusz ludzki wymyślił stalowe ptaki, co wzbili człowieka w górę, obaliły granice w przestworzach, połączyły odległe kontynen-

ty, zbliżyły ludzi do siebie, potwory stalowe, które posiały śmierć milionów ludzi, zamieniły w zgliszcza domy i dorobek kultury pokoleń. Za tego pokolenia geniusz ludzki dokonał wspaniałego wynalazku radia niosącego w najdalsze zakątki świata głos największych artystów, najpiękniejszą muzykę, kult wiedzy i nauki, jad i kłamstwo, zatrute słowa budzące nienawiść i lęk.

Dawniej bywało inaczej.

Czy ten oszałamiający postęp techniki przyczynił się do szczęśliwości jednostki i rodziny? Może to przyszłość rozstrzygnie. Gdy zapadała szara godzina w miasteczku, dworcu czy wiejskiej chacie, rodzina gromadziła się dokoła stołu. Wieczornego spokoju nie mąciły jazgotliwe dźwięki nowoczesnej muzyki, ani nie szarpało nerwów oczekiwanie wiadomości z eteru. Dowiadywali się nowin następnego dnia lub choćby za tydzień. Łagodne światło lamp naftowych oświetlało postacie miłujące i szanujące się nawzajem. Ludzkie codzienne troski nie wryły na twarzach niepokoju. Ufano, że z pomocą Bożą jutro nie będzie gorsze od dnia dzisiejszego. Wiedzano, że nic nie zamąci spokoju nocnego, że człowiek-zwierzę nie grzmotnie kolbą w drzwi i nie zburzy życia rodzinnego.

Były to czasy gdy uczynki ludzkie i zamiary sądzono głównie tym, czy są godziwe czy niegodziwe, gdy najistotniejszym był podział na rzeczy piękne i brzydkie. Bywały śmieszne bariery graniczące z przesądem i zacofaniem. Oddalało to jednak od ludzi zawiść i pokusę, więc mniejszą rolę odgrywała korzyść osobista i nie tak często czaiła się myśl: „co ja z tego będę miał”.

Ludzie byli bardziej niefrasobliwi, dlatego i te obrazki są pogodne. W obrazkach tych granice się zacierają i trudno dziś dociec co było wyłącznie lwowskie, a co było objawem epoki wspólnym innym ziemiom, epoki odchodzącego w niepamięć kadryla, kotylionów i karnetów, tych dawnych odległych czasów, kiedy panie jeszcze papierosów nie paliły, a spódniczki nie były tak kuse. Ostatni akt epoki życia w zwolnionym tem-

SPIS RZECZY

Przedmowa Zygmunta Nowakowskiego	str. 5
Sygnal Rozgłośni lwowskiej	str. 19
Marian Hemar: Kilka słów przedmowy	str. 11
Wstęp	str. 14
Ukochane miasto Rzeczypospolitej	str. 19
Lwowskie barwy	str. 21
Koniec czarnożółciństwa	str. 23
Realność	str. 27
Państwo Szymonowie	str. 31
Pomieszkanie	str. 34
Służąca	str. 39
Ulica	str. 44
Czas	str. 49
Parki i ogrody	str. 52
Tramwaj	str. 57
Sport	str. 59
Młodzież	str. 64
Bale i zabawy	str. 74
Miejskie rządy	str. 81
Święta i uroczystości	str. 86
Lokale	str. 89
Teatr	str. 97
Na świeże powietrze	str. 101
Lwowski żebrak	str. 106
Piosenka przedmieścia (Z dodatkiem nut i tekstów)	str. 108
Lwowska gwara	str. 119
Słownik gwary lwowskiej	str. 123
Powiedzonka	str. 135
Słowa a czyn	str. 137
Lwów w walce	str. 139
Defilada po różach	str. 145
Ostatni akt	str. 148
Lwowska sztama	str. 150
Lwowski humor	str. 152
Przyzwyczajenie	str. 155
Lwów się nie dziwi	str. 157
Zakończenie: Dekret Władysława Jagiełły	str. 158